

# WIECZORY RODZINNE,

CZASOPISMO ILLUSTROWANE TYGODNIOWE

DLA DZIECI.



Jan Zamoyski (str. 445).

## Pierwsze spotkanie z poezją.

Znaszli ty piękne litewskie jeziora,  
Wielkie, głębokie, z lazurówem okiem,  
Śnieżystém kwieciami lilii załawioném,  
A mgły wiosennéj przezroczym welonem

Przed ludzkim chciwie zasłaniane wzrokiem,  
W których puszczy dębów przegląda się kora?  
Znaszli przyrodę? Czy lira jój pieśni  
Pod twém dotknięciem bratnią nutą dźwięczy,  
I w serce splywa pogody promieniem?  
Jeżeli tak jest, jeśli jego tchnieniem  
Miłość przyrody, co się tobie wdzięczy,  
To słuchaj, siostró, mię dziś, jak najwcześniej.



Na jeziorze, co jak morze,  
 Bez granicy zda się oku,  
 Co z szafirów ciemne łoże  
 Traci jeno tam, w obłoku —  
 W jego fali, co się w dali  
 Diamentową srebrzy kitą,  
 Wietrzyk uszczknął gdzieś z oddali  
 Łódkę z kwiatów barwnolitą.  
 Sam mianował się sternikiem;  
 Perlił fale, muskał kwiaty,  
 Igrał z innym wód wietrzykiem,  
 I zapłynął aż w te światy.

Na obłoczku z kwiatów tchnień,  
 Kołysanym nutą pień.

Dziewica się bieli,  
 Piękna jak Anieli,  
 Owiana w tęcze,  
 W światła obręcze:  
 Oko jój tonie  
 W niebiosów łonie,  
 A ręka trąca  
 Lirę ze słońca.  
 Każdy dźwięk świeci  
 Różnym promieniem,  
 A każdy leci  
 Z kwiatowem tchnieniem  
 W źródło wszechpienia:  
 W Boże widzenia,

Ja, moja siostró, stałam nad jeziorem  
 W toń spoglądałam. Było to wieczorem...  
 Ostatnie słało spojrzenia już słońce  
 I rozłacało obłoczków tysiące,  
 Co się znów z lekka zwierciadliły w fali  
 I z nią płynęły wciąż dalej i dalej...  
 Tak było pięknie, uroczą w naturze,  
 Jakby rozwiali Aniołowie Stróża  
 Piór śnieżnych szaty na ziemię stęsknioną  
 I utulili ją modłów osłoną!  
 Rozpatrywałam się w pięknej przyrodzie —  
 Naraz śpiew fali rozdzwieczał po wodzie...  
 Tuż przy mnie stała śnieżna Pani ona,  
 Złocistą tęczę ku niebu wzniesiona,  
 I ciemnych oczu niebiańskie wejrzenie  
 Zwróciła ku mnie... Wstrzymywałam tchnienie —  
 Tak stała chwilę, uśmiechniona, błoga,  
 A potem rzekła: „Siostró moja droga,  
 Kochasz ty Piękno? jam ku tobie zślana  
 Od twego Boga, od wszechpiękną Pana,  
 By Cię zapoznać z tajnikami Jego”.  
 — „Dziewico śnieżna, wierzę, żeś z Pańskiego  
 Grodu zleciała, bo na naszej ziemi  
 Nie obcujemy z tobie podobnemi.  
 Lecz ktoś jest Pani, co przybywasz z Nieba?  
 Którą nieznając już ukochać trzeba?

— „O siostró moja, spojrz na świat ten cały,  
 Jak pełen piękna, pełen Bożej chwały,  
 Jak serce wznosi w niebiosów wyżyny,  
 Wiesz? to móm tchnieniem zwiane te krainy!

Bom ja nietylko  
 Rajską motylką,  
 Błyskiem tęczanym,  
 Tchnieniem różanem.  
 Rusałką pienia,  
 Tkanką marzenia...  
 Nie, siostró droga —  
 Jam posłem Boga,  
 Gwiazdą na straży  
 Pańskich ołtarzy.

Jam cudów blaskiem,  
 Wszechpiękną brzaskiem,  
 Zślany, by świat  
 Przemienić w kwiat,  
 I woń zeń nieść,  
 Panu na cześć.

Widzisz tę lirę? Z niej pieśń ulata  
 W niebo, ku Panu, z całego świata,  
 A potem spływa po strunach onych,  
 Tysiącnie piękniej jeszcze ztęczonych,  
 I na twą ziemię rozplenia blask —  
 A blask od Pana, toć pełnia łask”.

— „Wiem już kim jesteś, niebianko przezrocza,  
 Lecz i poznaję, jak dalekom Ciebie!  
 Odsłoń choć w części, dziewico uroczą,  
 Wdzięk swój tajemny: zaśpiewaj o niebie,  
 Bądź ducha mego modlitwą i tchnieniem,  
 Skrzydeł swych śnieżnych użycz mi opieki,  
 Czuwaj nad serca najłżejszém westchnieniem,  
 Bądź moją, Pani! Na zawsze, na wieki,  
 O! ja Cię błagam!

„Pókiś na tej ziemi  
 Nie możesz objąć mnie tak całkowicie,  
 Lecz poznasz tylko z promieni; tak niemi  
 Będę ci błogo opromieniać życie.

Bom jako słońce,  
 Którego lśniąco  
 Widzisz promienie,  
 A żaru tchnienie  
 Czujesz — lecz złoty  
 Obraz istoty  
 Słońca samego  
 Nie znan dla twego  
 Ducha. Wspomogę  
 Jednakże ciebie:  
 Ukazać drogę,  
 Którą cel w niebie:  
 Oczyszczyć swe serce,  
 Bo przeniewierce  
 Nie znajdują mniel  
 Ja tylko lśnię



W duszach anielich,  
W które, jak w kielich  
Lilji kwiatu,  
Pan niebios światu  
Łaskę swą zwiewa,  
Ducha rozgrzewa.

Gdy będziesz piękną, uanieloną,  
Nadleci anioł z ciemną zasłoną,  
I przejrzyś, siostrzo! Ujrzyś mnie wszędy,  
(Mnie, com odbłaskiem pierwszej piękności).  
W pięknie przyrody, tam nawet kędy  
Pierwój stapałaś w chłodnej ciemności —  
I śpiewać będziesz z przyrodą całą  
Pieśń uwielbienia nad Bożą chwałą,  
Pieśń modłów, dzięków, uniesień ducha;  
Gdy serce twoje w świat *ten* się wsłucha,  
Obaczysz piękno w duszy swój wielkie,  
Wyższe i świętsze nad inne wszelkie;  
Pan, który dotąd był ci daleki,  
Stanieć się blizkim, w Nim mnie dogonisz,  
I czar mój tajny wówczas odsłonisz,  
Złączym się w jedno przed Nim na wieki!

W. M.

## BRANIEC TATARSKI,

opowiadanie na tle historycznym osnute,

przez Maryą Świdorską.

(Dalszy ciąg).

Nie będę już opisywał, ile to trudności przedstawiało się na każdym kroku, czy to w przytwierdzeniu liny do dołu w kopalni, czy w prześlizgiwaniu się niepostrzeżenie, aby nie być schwytanym przez korsarzy; dość, że w końcu Beppo upatrzył sporą łódź w przystani, między skałami ukrytą a mogącą nas wszystkich pomieścić i postanowiliśmy próbować szczęścia, jak tylko nasi korsarze udadzą się na wyprawę. Wybierali oni do tego najczęściej nocy ciemne, a znając wybornie przesmyki i kryjówki około swojej wyspy, przesuwali się bez szwanku między skałami i rafami podwodnymi, których tam było mnóstwo. Dla tych też raf zapewne żaden okręt obcy nie zawadził nigdy o wysepkę naszą i rabusie czuli się tu bezpiecznymi.

Czekaliśmy więc niecierpliwie nowiu księżycy do skutecznienia naszej ucieczki, kiedy niespodzianie przybyło nam dwóch jeszcze towarzyszy; jeden był kupcem z Francyi, porwany na wybrzeżu prowanckim, rozpaczał srodze, zostawił bowiem żonę i kilkoro drobnych dzieci; drugi, także Francuz, młody chłopak, jedynak u matki

wdowy. Trzeba i im było odkryć tajemnicę podziemia, a teraz już dwunastu prócz mnie znajdowało się niewolników w jaskini naszej.

Nadszedł wreszcie dzień wielki, upragniony. Od rana już pracując w kopalni i wyciągając kamienie na wybrzeże, uważaliśmy ruch niezwykle z daleka na wyspie; musieli się rabusie gotować na większą wyprawę i wcześniej nawet niż zwykle zapędzili nas na nocleg. Czas był pochmurny i pod wieczór nawet mgła zaczęła się unosić nad wybrzeżem. Skorośmy zostali sami, ja ukląknęłam jak zwykle do pieśni wieczornej, po odśpiewaniu której, padłszy na twarz, gorąco się modliłam o powodzenie naszego przedsięwzięcia. I głucha nastała cisza, a każdy w skupieniu ducha musiał po swojemu korzyć się przed Władcą Wszechrzeczy, którego w takich momentach dusza najmocniej uznaje. Potem wstaliśmy i zabraliśmy się do podziemia; a trzeba było wielkiej ostrożności i porządku: przez ciasny korytarzyk po jednym tylko wysuwać się mogliśmy i to pełzając na czworakach czasami, a każdy wypoczywał chwilę w owej pieczarze, której znaczną część zasypaliśmy byli ziemią. Wygrzebawszy się aż do końca korytarza, trzeba było znów, uczepiwszy się liny, za pomocą sznurowej drabiny, którąśmy już od kilku miesięcy mozolnie wyplatali, wydrapywać się na górę do kopalni. Wszystko to zajęło sporo czasu, nim ja ostatni wy dobyłem się z kryjówki naszej.

Tymczasem Beppo z trzema innymi poszedł już był chyłkiem ku miejscu, gdzie zwykle była ucepiona łódź i spodziewaliśmy się, że niedługo przybiją do brzegu od strony kopalni, aby nas z sobą zabrać i puścić się na morze. Spokojne ono dziś było, Bogu dzięki, bo inaczej jakże się puszczać na bezdenne głębiny w wątłej łodzi, która jak łupina z orzecha o skały rozbić się mogła? I teraz rachowaliśmy na biegłość marynar-ską niektórych towarzyszy, aby się prześlizgiwać między rafami nadbrzeżnymi.

Czas mijał, a Beppa i łódki upragnionej jakoś widać nie było; serce mi jak młotem biło w piersi, ale uspakajalem towarzyszy i Leszka, który drząc ze wzruszenia tulił się do mnie. Wreszcie cichy plusk wiosła obił się o uszy nasze: to on! już się zbliżają, już są przy brzegu i Beppo wyskakuje na ląd. Szybko, urywanemi słowy opowiada, że przybywszy na miejsce, łodzi nie znalazł, korsarze ją widać zabrali, musiał szukać dalej i już upatrzyli drugą, gdy straż tam postawiona zawołała na nich, czego chcą? I tym razem przytomność umysłu Beppa pozwoliła im się wywinąć z tej matni tak, że sami strażnicy nie znając ich, dopomogli łódź odczepić, ale niestety! łódź ta o wiele



mniejsza od tamtej, niewiadomo, czy dziesięciu ludzi zmieści!

Tu dopiero wzburzenie, nikt nie chce zostawać, wszczyna się spór, zaciskają się pięści, gniewne słowa lecą, a tu czas uchodzi i lada chwila możemy być wyśledzeni... Naturalnie chciano zostawić owych dwóch ostatnich więźniów, którzy nawet nie pracowali nad podziemiem, ale ci błagają, żeby ich nie porzucać; jeden żonę i dzieci przypomina, drugi miał być odesłany do janczarskich pułków, więc wszelkimi siłami chce się ratować. Cóż robić? Czyż mamy wszyscy ginąć przez upór, tyle przeniósłszy i przecierpiawszy? Przemówiłem raz i drugi, ale na próżno; już się dwóch majtków porwało za barki, a kłótnia coraz gwałtowniejsza wybucha. Niema ratunku! wyciągnąłem rękę i mocnym głosem nakazałem milczenie, poczem zwracając się do Beppa, który był jakby wodzem na łodzi, rzekłem:

— Bóg mi świadkiem, że czekałem tej chwili, jak zbawienia prawie i wszyscyśmy jęj czekali; teraz zgubimy się dobrowolnie. Widzę, że inną rady niema; mamy ginąć wszyscy, to niech lepiej ja ginę. Zostaję tutaj, wy płyńcie; kto jeszcze ze mną?

Beppo zaklął straszliwie.

— To być nie może! Ja łódź zatopię, a bez ciebie nie jadę!

I nowe wahania, spory, groźby. Wreszcie, wezwawszy Boga na pomoc, oddałem im w opiekę Leszka, który także z początku porzucać mnie nie chciał i odszedłem kilka kroków, a tu już i krzyk jakiś na wyspie słychać było.

— Na miłość Boga, nie traćcie czasu — mówię drżącym głosem, ale stanowczo — ja zostaję, płyńcie natychmiast.

— I ja z wami, panyczeńku! — I obok mnie stanął poczciwy Maksym, i on nie miał nikogo bliższego na świecie... Za chwilę łódź odbiła od brzegu a w samą porę, bo na wyspie wszczął się rozruch. Spostrzegli widać, że coś się dzieje niezwykłego i zaczęli z pochodniami się uwijać Turcy, ale nie wiedzieli, w którą stronę się udać. Tymczasem łódź mknęła szybko po fali.

Patrzyłem daleko w ciemności, jak gdyby oko moje mogło przebić grube zasłony wszystko kryjące, i znowu, znowu czułem się sam, opuszczony... Leszek, którego pokochałem, jak brata małego, stracony dla mnie, a z łodzią, która go uniosła, uciekła też nadzieja swobody, lepszej doli. Ale czułem też, że postąpiłem uczciwie. Gdyby nie moja ofiara, byłoby gorzej jeszcze, bo nikt nie chciałby zostać i cała wyprawa, z takim mozołem przygotowana, zesłaby na nic. Maksym poczciwy wyrwał mnie z bolesnej zadumy i potracił z lekka

w ramię, kiedy jak martwy leżałem na twardym głazie nad brzegiem.

— Szoż teper bude, panyczeńku? (Co teraz będzie) — pytał, i prawda, co teraz począć? Po krótkiej naradzie postanowiliśmy, póki jeszcze trwa nocy ostatek, prześliznąć się do jaskini naszej i odwaliwszy jęj kamień, wejść do wnętrza, zakryć jak można było najlepiej otwór podziemny, a wreszcie rzucić się na posłanie, jak gdybyśmy o niczem nie wiedzieli.

— Jakto! — wykrzyknął Jurek — i tak sami wracaliście do paszczy tego potwora! Czyż nie lepiej było stać nad brzegiem i szukać jakiego sposobu ucieczki?

— Toby się na nic nie zdało teraz; po wybrzeżu krążyli ludzie ze światłem, szukając zaginionej łodzi, i baczność była obudzona, a pochwycawszy nas na wolności, byliby nas ci ludzie zamordowali natychmiast, a przynajmniej okrutnie pokaleczyli. Postanowiliśmy udawać śpiących i jak gdyby upojonych, a nie wiedzących o niczem.

Dzieweczki płakały, słuchając tego opowiadania, tak im żal było brata, któremu drugi raz już przychodziło dobrowolnie prawie wyrzekać się swobody. Bohowitynowa z dumą i rozrzewnieniem patrzyła na syna.

XIII. Rabusie oszukani. — Na wodzie. — Galernicy. — Burza. — Rozbicie.

— Już nie wiem, dobrodzieju mój — ozwał się nazajutrz Gozdawa — jakim sposobem waść wyszedłeś kiedy z tej niewoli. Myślę, że już w końcu musiałeś się rozmiłować w tych bisurmanach i dla tego ich nie porzuciłeś. Jaby, panie, był porozbijał tych kupczyków i sam się, dobrodzieju mój, wpakował do łodzi; niechby robili co chcieli, Niemczyki te weneckie.

Wszyscy się uśmiechnęli na takie „dictum“ pana Gozdawy, Bohowitynowa tylko przez łzy na jedynaka swego spojrzała i rękę wychudłą na głowie mu położyła. Janek mówił dalej:

— Nad ranem, ledwie świtać zaczynało, stróż nas ze strasznym hałasem wpadli do jaskini, gdzie my obaj z Maksymem leżeliśmy w kącie mocno sapiąc, jak gdyby twardym snem złożeni. Rozbiegli się rabusie po kątach, krzycząc i klęcząc po swojemu i wreszcie któryś z nich, potknąwszy się o leżącego na mchu Maksyma, porwał go za barki i zaczął trząść, wołając, żeby się przebudził; ten jednak, udając nieprzytomnego, bełkotał namyślnie jakieś niezrozumiałe słowa. Turcy nie wiedzieli sami, co myśleć, bo i ja musiałem śpiącego udawać. Na próżno nas trzęśli i szarpali, szukając innych, a nic się dowiedzieć nie mogąc.



Uwierzyli zapewne, że tamci nas upoiwszy porzucili, pojąć tylko nie mogli, jakim sposobem gład odwalony został. Posądzali jeden drugiego o pomoc daną niewolnikom, wreszcie pobili się między sobą okrutnie, a tymczasem nadpłynęły i statki korsarskie z nową zdobyczą.

Podziemie nasze ocalało, ale nie było nam sądzono korzystać z niego, na drugi dzień bowiem obaj z Maksymem, przykuci łańcuchem do galery, musieliśmy pełnić służbę wiosłarzy. Ciężka to była niewola, a jeszcze okropniej pomyśleć, że będziemy musieli niejako dopomagać do tych wszystkich rozbojów i złodziejskich wypraw rabusiów. Bóg nam jednak oszczędził tego nieszczęścia, korsarze bowiem, zawiąawszy gdzieś na wybrzeże, sprzedali nas do kupieckiego okrętu tureckiego.

Tu, przykuci zawsze łańcuchem, ja i stary kozak, druh mój, długie przeżyliśmy miesiące. Wiele przez ten czas zwiedziliśmy rozmaitych okolic, trudno mi opowiadać, bobym i za miesiąc nie skończył. Galera nasza zawijała do różnych portów, a my niewolnicy z daleka tylko patrzyliśmy na nieznane wybrzeża; to nam migały w dali palmy afrykańskie, to znów zbliżaliśmy się do skał Gibraltaru, to stawaliśmy w jakim porcie francuzkim, a potem wszystkie te obrazy z górami, lasami, pałacami, znikwały z oczu, jak sen, i znów płynęliśmy po szerokim morzu.

Czasami w nocy, kiedy zabłysło gwiazd tysiące, zdawało się, że nad nami i pod nami niebo złociste, a choć ciało łańcuchem było przykute, to serce się wznosiło do Boga i czułem, że jak dawniej w czarnych podziemiach, albo na tatarskim pustym stepie, tak teraz, wśród morza ogromnego, nie byłem sam. I znów się budziła nadzieja, że kiedyś, kiedyś, ten Bóg, co mię wspierał w tyłu losu kolejach, ulituje się wreszcie i doprowadzi mnie do ziemi rodzinnej. A może znów nie bez celu zostałem rzucony na tę galerę turecką, i tu bowiem znalazłem towarzyszy rodaków; prócz Maksyma i mnie, dwóch młodych Ukraińców zastaliśmy między wiosłarzami galery \*). Z tymi długie tocząc rozmowy o kraju rodzinnym, o wierze naszej i mowie ojczystej, umacnialiśmy się nawzajem na duchu i zachęcali do wytrwałości; a wieczorem znów brzmiała pieśń „Bogarodzico“ i tak jak dawniej dziwną nas napełniała otuchą. Kiedyś, pamiętam, wiosłując, podniosłem wzrok ku niebu, a tu widzę stado bocianów, co wysoko ponad morzem i ku północy lecą, rozwinawszy skrzydła, lecą tam daleko, do ojczyzny mojej!

\*) Nieraz się zdarzało, że młodych brańców z ziem naszych, którzy się nie nadali do nillicy Janczarów, (wyłącznie z niewolników takich utworzoną) przykuwano na długie lata do galer.

I oczy mi się napełniły łzami, i zerwałem się na nogi, ale brzęk łańcucha przypominał, że w niewoli. Przemysliwaliśmy też nieraz, jakby się z tej niewoli wydobyć, ale to już wydawało się niepodobnem, bo gdyby nawet jaka siła nadludzka twarde kajdany nasze skruszyła, trzeba by chyba ptakiem wylecieć, jak te białe mewy, co krążyły czasami nad statkiem naszym. Ale właśnie, kiedyśmy się tego najmniej spodziewali, przyszło uwolnienie w dziwny i cudowny prawie sposób, a jak się to stało, opowiem.

Wracając z odległej wyprawy ku wybrzeżom Afryki, wpłynęliśmy właśnie na ciche wody Archipelagu i znów, jak owęj nocy, po mojem odpłynieniu z Krymu, przesuwaliśmy się pomiędzy licznymi wyspami, tym razem jednak ku północy się kierując, gdyż galera nasza do Saloniki zawinąć miała. Już niedługo spodziewaliśmy się wpłynąć do zatoki Salonickiej, ograniczonej od Wschodu wielkim trójzębem półwyspu Chalcedonii, gdy nagle wiatr, dotychczas łagodnie ku północy nas popychający, zmienił kierunek i gwałtownie dmąc żagle, począł nas zwracać ku wschodowi. Próżno się sternik wysilał, napróżno my wiosłarze natężaliśmy wszelkie siły, burza coraz gwałtowniejsza targała nasz statek i rzucała nas na wszystkie strony.

A miało się już właśnie ku wieczorowi; słońce, jakby krwią oblane, zapadało gdzieś daleko w morze, a fale, groźnie huczając, piętrzyły się w koło statku, niby potwory ogromne, co go chcą pożreć. A tu czarne chmury, kłębiąc się, zalegały widnokrąg i burza tém straszliwsza, że niespodziana, rozszalała na morzu, w morzu i w powietrzu. Gromy huczały zdaleka, a błyskawice, jaskrawemi zygzagami rozdzierały ciemność nas otaczającą. Niepodobna było walczyć z siłami przyrody, a znużone ramiona opadły nam bezwładnie.

Galera miotana na wszystkie strony, niby wąż skorupka, to się wznosiła na grzbiecie fali jakiejś olbrzymiej, to znów opadała w odmęty, zalana wodą. Pogasyły wszelkie światła na statku i nic już nie było słyhać prócz ryku burzy, huku fal i straszliwych gromów, wstrząsających zda się, niebo i ziemię. Straszne to były godziny, a jednak i wtedy serce moje wołało do tego Pana Wszechrzeczy, który poza rykiem burzy i trzaskiem gromów przemawia do duszy ludzkiej, tak, jak wśród ciszy spływa do niej po srebrzystym promieniu miesiąca. Skuty łańcuchem, przywiązany do tej kruchej łupiny, co się już rozbiła o głązy ostre podwodne, otoczony ciemnością przerażającą, czułem jeszcze, że mnie Bóg nie opuszcza i odzywałem się do towarzyszy, starając się im dodać otuchy.



Nie słyszeliśmy się prawie śród łoskotu burzy morskiej, Maksym tylko, co był tuż przy mnie przykuty, zęgnął się co chwila, a kiedy błyskawica, rozdzierając chmury, rozświeciła mi twarz jego, widziałem, że się modlił z głową wzniesioną. Inni już wpół martwi z przerażenia i grozy, leżeli na pokładzie, chwytając się masztów i lin porzuconych. Jak długo to trwało, nie wiem; wreszcie trzask okropny, który się dał słyszeć nawet śród burzy szalejącej... zimno oblewającej nas wody i... straciłem przytomność...

XIII Janek zmartwychwstaje, — Góra Athos. — Pustelnik. —  
Między niebem a ziemią.

Kiedy otworzyłem oczy, słońce jasno świeciło w koło mnie, tak, że natychmiast zamknąć musiałem powieki, nie mogąc znieść wielkiego blasku. Na razie nie wiedziałem, co się ze mną stało, aż dopiero zwolna wracała pamięć: ryk wichru, szum i łoskot wzburzonej fali, krzyk i jęki strwożonej załogi, potem ów trzask straszliwy, chwila walki okropnej z wodą, zalewającą mnie ze wszech stron i... ciemność! Cóż się później ze mną działo? Nie wiem.

Otwieram znów oczy; przez małe zakratowane okienko świeży powiew przynosi balsamiczną woń kwiecia, a złocisty promień słońca igra nademną, ślizgając się po białym posłaniu. Na stropie ciężkie sklepienie wznosi się okrągłym łukiem, a przy ścianach kilka prostych drewnianych sprzętów. Teraz dopiero widzę w kącie postać ludzką; starzec siwobrody, schylony nad wielką księgą ze srebrzystymi klamrami i zatopiony w modlitwie, czy zadumie! głębokiej, zdawał się nie patrzeć na mnie wcale; kiedy jednak poruszyłem się na posłaniu, starając się głowę podnieść, oczy jego duże, niebieskie, a pełne rozumu i słodyczy, spoczyły na mojej twarzy i powoli uśmiech pogodny rozjaśnił jego poważne, szanowne oblicze.

(D. n.).

G U C I A.

z alzackich powiastek J. GIRARDIN'A,  
(ułożyła Marya Świdarska).

W roku 1870 rozpoczęła się krwawa wojna Prusaków z Francją. W kilka miesięcy później Francuzi, kilkakrotnie pobici, zmuszeni zostali zawrzeć pokój z nieprzyjacielem i ustąpić mu prowincję, nad Renem leżącą, Alzacyą i część Lotaryngii. Mieszkańcy tych okolic, jeżeli nie chcieli się wyrzec kraju, który całą duszą kochali, mowy

rodzinnej i praw swoich, musieli tłumnie opuszczać miasta lub wioski, w których wzrosli i wychowali się. I rozeszli się biedacy w różne świata strony, żegnając ze łzami, to kościółek parafialny, gdzie się chrzcili albo ślub brali, cmentarz, gdzie spoczywały kości ich ojców i dziadów, to znów stare drzewa, pod których cieniem tyle razy przesiadywali. Poszli z żalem i tęsknotą w sercu, ale cięższym był los tych, co zostali: nowe rządy, nowi ludzie, obca mowa w koło nich, wszystko niby to samo, a jakieś inne, przykre, obce...

I w pewnej ładnej wioseczce, co się w zielonej dolinie kryje, nastały nowe porządki. Ludzie pociągali; w całej wsi może ośm lub dziesięć dawnych alzackich rodzin zostało; zato nowi przybysze rozgospodarowali się na dobre, nie troszcząc się o nic i nikogo, byle im dobrze było. Stary nauczyciel ze szkółki zabrał swój skroinany węzelek i poszedł w świat szeroki, szukać chleba na starość; na miejsce jego przybył z Niemiec chudy, wyżółkły bakałarz, który zebrawszy dzieci w szkole, prawił im długo, jak powinny się uczyć, że należą do wielkiej ojczyzny niemieckiej, która wkrótce zapanuje nad całym światem, jaki wstyd tym, co się inną odzywają mową i inne wspominają zwyczaje. Cała klasa słuchała uwag pana nauczyciela; między nimi sześcioro czy siedmioro dzieci, spuściwszy oczki w ziemię, smutne, zmieszane, nie zdawały się słyszeć nawet tego, co drwiącym głosem prawił Niemiec; inne zato, hardo wkoło spoglądając, potrzącały się łokciami i ze śmiechem wskazywały na małą gromadkę „Francuzików”, jak ich nazwali.

W gromadce tej stała mała Gucia. I ona chciałaby była pójść z tymi, co w daleki świat przed Niemcami uchodzili, ale biedaczka rodziców już nie miała, a starzy jej dziadostwo nie mogli ruszyć się z miejsca rodzinnego. Gucia zesmutniała i pobladła; nie chciała już chodzić na zabawę pod starą lipę przy kościele, gdzie zamiast dawnych znajomych spotykała pyzaty chłopaków, co na nią palcami pokazywali, albo dziewczęta powolne a złośliwe, co się krzywiły na „Francuzicę”. Pewnego razu Gucia, stojąc przy oknie, zobaczyła w okienku sąsiedniego domu małą dziewczynkę, uśmiechniętą i rumianą, która jej od buzi całusek przesłała. Gucia zrobiła to samo. W tydzień właśnie potem wypadało otwarcie szkoły, gdzie spotkała Gucia swoją nową znajomą i dowiedziała się, że ta ma na imię Fredzia Fuchs. Mała Niemeczka tak była czuła i uprzejma, że Gucia nie mogła się od niej odsunąć; w kilka dni już były potrosze w przyjaźni i Fredzia została zaproszona na ciastka do Guciniej babci. Sąsiadki widywały się często; Gucia pomagała sąsiadce



w rozwiązywaniu zadań arytmetycznych i w różnych rzeczach które lepiej od niej umiała; zato sama przyzwyczajała się do niemieckiej mowy, która jej ciężko przychodziła, bo też prawdę powiedziawszy, cierpieć jej nie mogła.

I tak przeszło kilka tygodni. Piękny był jesienny poranek; dzieci siedziały w klasie, czekając na pana nauczyciela i odrabiając jakieś zagadnienie arytmetyczne, a Gucia, która już swoje była ukończyła, patrzyła przez okno zdaleka na drogę, co wiodła do Francji. Wtém usłyszano niezwykle jakiś szmer na korytarzu, drzwi się z trzaskiem otworzyły, a w nich, wchodzący plecami, zgięty na pół do ziemi i ciągle się kłaniający pan nauczyciel Schurk.

— Panie inspektorze — powtarzał — panie inspektorze!.. do nóg upadam! — wprowadzał tłustego, pękatego człowieka w złotych okularach, który zatoczywszy się aż na katedrę, rzucił okiem na całą klasę i założywszy ręce w kieszenie, raczył pytać uczniów i uczennice po kolei. Wszystko szło dobrze, ale gdy kolej przysła na Gucię, pan Schurk nachylił się do ucha pana inspektora i szepnął słów parę, kłaniając się zawsze. Inspektor skinął na Gucię, żeby przystąpiła i zaczął ją pytać ale, tak szybko i wlepiając w nią złośliwe swoje siwe oczki, co błyszczały z za okularów, że biedne dziecko zmieszane i przerażone zaledwie mogło odpowiadać. Pan Inspektor zauważył głośno parę razy, że akcent miała szkaradny niemiecki, wreszcie kazał jej przejść do geografii i wyliczać prowincje państwa niemieckiego. Dziewczynka drżącym paluszkami pokazywała na mapie rozmaite części cesarstwa, wymieniając je, ale gdy doszła do Alzacyi i Lotaryngii, zamilkła i podniosła oczy na nauczyciela. Ten miał oczy wlepione w inspektora. Gucia się zająknęła i znów zamilkła. Gruby inspektor patrzył na nią przez chwilę z uśmiechem, wreszcie udając, że nie rozumie o co rzecz idzie, zapytał głosem podniesionym:

— I nic więcej nie wiesz? Ty francuzki nieuku, nic nie wiesz? Słuchaj, słuchajcie wy wszyscy, jak trzeba było odpowiedzieć. — I zaczął przez kwadrans przynajmniej rozpowiadać o obszerności i potęgze cesarstwa niemieckiego, o jego wyższości nad resztą świata, mówił jakie to szczęście dla Alzacyi i Lotaryngii, że się dostały pod skrzydła tak potężnej matki itd. itd. Uczniowie, śmiejąc się pocichu, palcami wskazywali na Gucię, która z oczami spuszczone trzymała różkę fartuszka, na który grube łzy spływały. Raz je podniosła i zwróciła na przyjaciółkę, ale Fredzia uśmiechała się także i patrzyła na pana inspektora. Gdy skończył mówić, Gucia chciała odejść.

— Jeszcze nie koniec — krzyknął — patrz tu, mała — laską uderzył o mapę aż całe cesarstwo niemieckie z przyległościami zadrżało. — Patrz i gadaj, gdzie się tu znajduje Francja? Gdzie Francja?...

Gucia podniosła główkę, już nie płakała, oczy jej błyszczały a twarzyczka mocnym splonęła rumieńcem. Wszyscy na nią patrzyli i przeczuwali, że powie coś nadzwyczajnego.

— Gdzie Francja? gdzie? — krzyknął inspektor znowu.

— Francja tu — odpowiedziało głośno i wyraźnie dziecko, kładąc rączkę na sercu.

Inspektor zczerwieniał, jak piwonja, a nauczyciel zbladł, jak kreda, którą w rękę trzymał; dzieci, dech wstrzymując w piersi, czekały, co z tego będzie... Wtém kukulka na zegarze ukazała dziobek i wykukała powoli dwunastą. W jednej chwili cicho, bez hałasu, ławki się opróżniły i dzieci ku drzwiom się zwróciły; Gucia wyszła za innymi; nikt jej nie zatrzymywał a uczennice mimowoli rozstały się, puszczając odważną dziewczynkę, która tak szlachetnie wypowiedziała, co ma w sercu. Odtąd Fredzia nie śmiała już przestąpić progu starego domu Gucinych dziadostwa. Co się dalej stało — nie wiemy...

## ZÓŁW MORSKI.

Podawaliśmy już dawniej w „Wieczorach Rodzinnych” obszerniejszą wzmiankę o żółwiach w ogólności, nie będziemy więc teraz rozwodzili się nad tym samym przedmiotem po raz drugi. Wspomnimy więc tylko, że żółwie morskie największych dochodzą rozmiarów. Wąż niekiedy po kilkaset, a nawet i tysiąc funtów i łowione są zarówno dla mięsa, jak i dla szyldkretu, który jest przedmiotem korzystnego handlu. Szyldkret ten stanowi wierzchnie warstwy puklerza, czyli skorupy żółwia.

Żółwie morskie mają przednie nogi znacznie dłuższe od tylnych, zupełnie płetwowate, to jest spłaszczone naksztalt wiosła i powleczone skórą, bez widocznych palców i bez pazurów, pancerz ciasny, pod który głowy i nóg wcisnąć nie mogą. Wychodzą na ląd dla składania jaj, a małe po wykluciu natychmiast śpieszą do wody.

Żółw morski, na rycinie przedstawiony, żyje w okolicach podzwrotnikowych. Na pancerzu ma szczególne smugi, z białych kółek utworzone, ciągnące się kilku rzędami przez całą długość pancerza. Z tego powodu Amerykanie nazywają go żółwiem o tysiącu dolarach.



## Rodzina goździków.

POGADANKA NAUKOWA.

Goździki należą do kwiatów najpospolitszych, znajdują się z pewnością w każdym ogrodzie. Oglądając koronę jakiegokolwiek goździka, spostrzeżecie od razu ważną cechę tego kwiatu: tu każdy płatek można odjąć, nie naruszając innych, bo każdy jest zupełnie oddzielny. Taka korona nazywa się wielopłatkową. W goździku obaczycie oprócz tego, że każdy płatek jest przedłużony i zwężony u dołu. Ta część szczuplejsza, którą jest umocowany w kielichu, nazywa się paznogciem. Wyższa, stanowiąca właściwie kwiat, nosi nazwę blaszki. Weźcie jakikolwiek goździk do ręki, najlepiej dziki, bo ogrodowe, zwykle pełne, tracą swoje cechy, i przypatrzcie mu się uważnie, a będziecie mieli wyobrażenie o całej rodzinie.

Kielich ma pięć ząbków, a w nasadzie otulony jest dwiema lub czterema łuskami, działki są w nim tak ze sobą zrosnięte, że tworzą rurkę całkowitą. Korona składa się z pięciu płatków, ząbkowanych u brzegu, pręcików jest dwa razy tyle, to jest dziesięć, zawiązek górny, to jest ponad dnem kwiatu wzniesiony, a rozdwojona szyjka słupkowa wygląda jak para rożków wygiętych nad pręcikami. Nasionka w torebce są zamknięte. Łodyga goździka także odrębną ma postać, kolankowata jest, nakształt trawistej, ale gdy w trawach kolanko jeden tylko listek wypuszcza, tu obaczmy zawsze dwa przeciwległe, szczupłe, także prawie trawiste.

Z hodowanych goździków dwa gatunki są najpospolitsze: tak zwany ogrodowy, *Dianthus Caryophyllus*, który ma duże, okazałe kwiaty, zazwyczaj pełne, przechodzące wszystkie odcienie czerwonej barwy, a niekiedy upstrzone rozmaicie. Piękny ten goździk podobno z Afryki pochodzi, lecz rośnie dziko w południowej Europie, równie jak goździk skupiony, pospolicie chińskim zwany, *Dianthus barbatus*, który ma kwiatki drobne, liczne, w obfite wiązki wierzchołkowe skupione.

Ale w polu, na łąkach i po lasach znajdziecie nie jeden swojski goździk, bo cała ta rodzina przebywa w strefach umiarkowanych, i to głównie na północnej półkuli. Wyliczymy tu najpospolitsze gatunki krajowe. Goździk kosmaty, *Dianthus Armeria*, ma liście omszone, płatki korony purpurowe, wewnątrz białymi i ciemnymi plamkami upstrzone. Goździk kartuzek, *D. Carthusianorum*, jasno-czerwony, łuski przy kielichu szydełkowato przedłużone. Goździk frenzlowany *D. Superbus*, blado-różowy, pachnący, kwiaty poszarpane na

delikatne, omszone frenzelki, w obszerne wiązki wierzchołkowe zebrane. Goździk piaszkowy, *D. Arenarius*, na piaszczystych miejscach się przytrafia, kwiaty białe, woniejące, po dwa najwięcej na jednej łodydze, płatki pierzasto poszarpane, u dołu włoskami purpurowymi porośnięte. Goździk kropkowany, *D. Deltoides*, pospolity na wzgórkach i zaroślach; płatki niemal klinowate, oznaczone ciemną smugą w kształcie greckiej litery delty i białymi kropkami. W Zakopanem rośnie mnóstwo pięknych i pachnących goździków. Zbieraliśmy najpiękniejsze na wzgórzu, zwanem Gubałówką. Prześliczny górski goździk różowy *D. glacialis*, na bardzo niskiej łodyżce, wyrasta na wysokich szczytach.

Teraz wspomnimy z kolei inne kwiaty, do tej samej rodziny należące, a jest ich na łąkach naszych niemało. Mydlnik, *Saponaria officinalis*, jest rośliną powszechnie znaną; liście jej przeciwległe i kwiaty cieliste przedstawiają też same cechy główne, co i goździki. Korzeń mydlnika ma własność szczególną, w wodzie pieni się zupełnie jak mydło i tak, jak mydło, może być użyty do prania. Na Podolu i Ukrainie można napotkać inny gatunek, o kwiatach różowych.

Do roślin niezbyt dobrej sławy używających u rolników, należy kąkol zbożowy, *Agrostemma Githago*, chociaż trudno zaprzeczyć, że purpurowe te kwiatki wcale ładnie wyglądają wśród płowych kłosów pszenicy lub żyta, zwłaszcza w towarzystwie bławatków i maków. A trzeba wiedzieć, że trzy te kwiatki zawsze przy sobie przebywają, jakby jakaś osobliwsza je łączyła przyjaźń. Gdzie tylko zakwitnie kąkol, tam i modry chaber zjawi się niezawodnie i mak czerwone swe kwiateczki rozwija. Czy to wśród zboża, czy w trawach na łące, wszędzie stanowią trójkę nierozłączną. Nie raz pomiędzy roślinami spostrzegać się dają takie dziwne sympaty. Ta wierna przyjaźń nie rozczuliła jednak bynajmniej rolników, którzy nie mają żadnego współczucia dla bławatków i maków, a nadewszystko nie cierpią kąkolu, którego nasiona, obficie wysypujące się z torebek, zanieczyszczają zboże, a jeśli się w większej ilości dostaną do mąki, mogą być dla zdrowia szkodliwe. Kwiat kąkolu przedstawia najwyraźniejsze z goździkami pokrewieństwo: liście przeciwległe, bezogonkowe, korona z pięciu płatków złożona, dziesięć pręcików, zawiązek górny, szyjek nie dwie, jak u goździków, ale aż pięć wznosi się na nim. Ta jest jedyna różnica.

Kto tylko kwiaty zbierał na łąkach, ten niezawodnie zna dobrze śliczne firletki, *Lychnis*, a szczególnie karmazynową smółkę, *Lychnis viscaria*, którą łatwo odróżnić po łodydze lipkiej, zwłaszcza

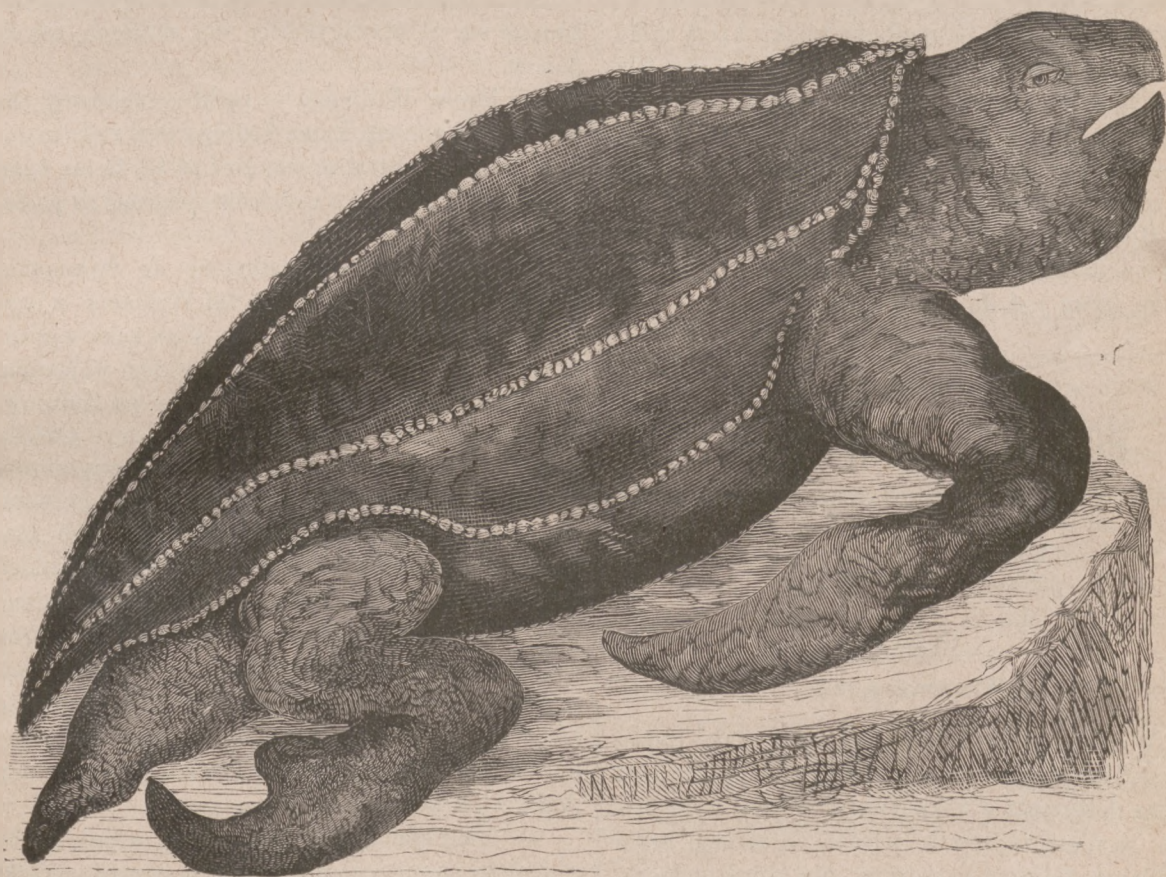


przy kolankach. Równie pospolity jest firletka poszarpana, *Lychnis flos cuculi*, której płateczki różowe w samą rzecz wyglądają, jakby poszarpane w strzępki. Firletka biała *L. dioica*, wszędzie bardzo pospolita, należy do szczególnych wyjątków w swojej rodzinie, bo ma kwiatki rozdzielone, to jest na osobnych krzaczkach pręcikowe, nie mające nasion, tylko pyłek rodzajny, a na osobnych znów słupkowe, wydające nasiona, gdy pyłek z tamtych drugich na nie padnie. Rzadsza daleko jest także sama rozdzielnokwiatowa firletka purpurowa, zwana leśną, w Zakopanem jednak wyrasta

otworze. Łodyga i liście omszone, kielich także włoskami porośły i lepki. Lepnica nocna, *S. noctiflora*, na noc tylko otwiera kwiatki cieliste, kwitnie do późnej jesieni, cała jest lepka. Lepnice wszystkie się tém odznaczają, że mają trzy szyjki słupkowe.

Wyżpin jagodowy, *Cucubalus bacciferus*, rośnie w zaroślach, nad wodami, kwiaty ma białe, od wszystkich goździkowatych wyróżnia się nasieniem, bo nie torebkę wydaje, lecz jagody czarne, wielkości grochu.

Kościeniec, *Cerastium arvense*, już w Kwietniu



Żółw morski. (str 439).

bardzo oficie i to nie tylko po lasach, lecz i na odkrytych łąkach.

Lepnica skrzypka, *Silene inflata*, także jest dość pospolita. Poznacie ją łatwo po wydętych, jak bańki, kielichach blado-zielonkawych, pokrytych ozdobną siateczką purpurowych żyłek. Płatki korony białe, powycinane są w ząbki zaokrąglone. Lepnica zwisła, *Silene nutans*, wieczorem dopiero się otwiera, ma szczupły kielich, smugamiznaczony, płatki korony porozcinane głęboko, jakby w tasiemeczki, z małemi przyrostkami przy

i Maju rozwija drobne, białe kwiateczki, o pięciu płatkach. Mała ta roślinka łatwa jest do rozpoznania po łodygach rozpostartych na ziemi, listeczkach szczupłych, przeciwnych.

Mokrzyca, albo muchotrzew, *Stellaria media*, ziółko powszechnie znane; nasionka mokrzyey są ulubionym pokarmem ptasząt. Liście ma na ogonkach umocowane, a kwiateczki białe, nakształt gwiazdki o dziesięciu promieniach, bo każdy z pięciu płateczków głęboko jest rozcięty. W około widać pięć zielonych działek kielicha, podobnie



w gwiazdkę rozłożonych i dłuższych od płatków korony. Na zawiązku wznosi się trzy szyjki słupkowe, a pręcików kwiatek ten ma tylko pięć, chociaż inne gatunki muchotrzewów, mniej pospolite, miewają ich po dziesięć, jak inne goździkowate rośliny.

Na miejscach piaszczystych spotkać można piaskownicę, *Arenaria*, która gałązki po ziemi rozpościera, liście ma szczupłe, trawiaste, drobne, różowe kwiateczki. Nakoniec na łąkach, wśród trawy, często napotkać możecie mokrzycznik baldaszkowy, *Holosteum umbellatum*, drobną roślinkę, której listeczki bezogonkowe są okrągławe, a drobne białe kwiateczki w rzadkie baldaszki ułożone i zwisłe. Każdy ma pięć ząbkowanych płateczków, zawiązek wydatny, trzy długie szyjki i trzy tylko pręciki, torebkę wystającą, dłuższą od kielicha. Na łąkach także rośnie wszędzie sporek pastewny, *Spergula arvensis*, który nawet i naumyślnie na paszę zasiewają. Łodyżki ma kolankowate, liście trawiaste i drobne białe kwiateczki.

Rodzina goździkowatych sporą liczbę ładnych okazów dostarcza do waszych zielników, a jak widzicie, łatwą jest do rozpoznania.

M. J. Z.

## POLOWANIE NA GIRAFY.

PRZYGODY MŁODYCH PODRÓŻNIKÓW W AFRYCE.

(Da'szy ciąg).

### XXIX.

W samą porę.

Więźniowie dowiedzieli się teraz, jaki rodzaj śmierci im przeznaczono. Ruchy i przygotowania wodza dostatecznie wskazywały, że miał wypróbować na nieszczęśliwych własnej ulubionej broni Williama. Główną przyczyną, dla której zwłoczono dotąd spełnienie wyroku, było to, że wódz potrzebował wyuczyć się dokładnie używania tej broni, zanim przystąpi do zabicia dwóch białych. Rzemienie ze świeżej skóry, któremi ściśnięto mocniej, niż było potrzeba, ręce Henryka, uschły teraz na słońcu i na rozgorączkowanym cieple młodzieńca, i wpiły mu się w ciało. Henryk cierpiał bardziej jeszcze, niż jego towarzysze. Ale cierpiał nie tylko ból fizyczny. To, co Kongo przeczuwał, stawało się okrutną rzeczywistością. Śmierć była nieuchronną, a jej powolne zbliżanie się dręczyło umysł Henryka i wyobraźnię żywą i wrażliwą niezmiernie. Pośród chaosu różnorodnych uczuć, w duszy jego unosił się jasny obraz Wilhelminy

van Wyk, on pragnął żyć, ażeby ją ujrzeć jeszcze; Henryk cierpiał straszliwie.

— Williamie — wołał — czy my istotnie umrzeć mamy? czy to być może? Ja nie chcę! ja nie mogę umierać!

Gwałtownym wysiłkiem chciał zerwać więzy, ale one tylko głębiej wpiły się w jego ciało spuchnięte, a krople krwi ukazywały się na końcach wszystkich jego palców. William w uroczystej tej przedśmiertnej godzinie milczał, ale i jego opuściła zwykła zimna krew, i on kochał rodzinę, sędziwych rodziców, których nie miał już ujrzeć więcej i swoją dumę myśliwską, która miała teraz zgasać wraz z młodzieńczym życiem jego na wieki. Co do Konga, ten nawet w tej strasznej chwili nie zmienił się w przychylności dla dobrych swych panów.

— Panie Williamie — rzekł — zginiemy razem. Błogosławię Boga, którego twoi rodzice dali mi poznać. Błogosławię go i za to, że nie będę widział twych starych rodziców płaczących po tobie.

Wszystko było przygotowane do wykonania wyroku, i wódz brał już na cel Williama z jego ulubionej własnej strzelby, gdy silna ręka wyrwała mu broń, i ze strasznym wrzaskiem wojennym gromada obcych dzikich rzuciła się na Zulusów, wypadłszy nagle z głębi sąsiedniego lasu. Chwila jedna wystarczyła do zmiany położenia; więźniowie zostali zwycięzcami, a ich prześladowcy więźniami. Na czele przybyłych obrońców było dwóch białych: Hans i Arend. Gromadą zbawczych dzikich dowodził poczciwy Makora. Przedewszystkiem, myśliwcy ocaleni pochwycili za swoją własną broń i konie. Potem, gdy Makora chciał zaraz na miejscu wytępić do jednego Zulusów, a następnie iść zniszczyć ich wioskę, myśliwi, a zwłaszcza wspałałomyślny William, wymogli na nim przebaczenie. Ani kropla krwi nie była przelana.

— Nie pojmuję, jak mogliście zjawić się jakby cudem na nasze ocalenie, i to w sam czas! — rzekł Henryk.

— Bez cudowności — odparł Hans — usłyszawszy co zaszło, pędziliśmy i ledwo zdążyliśmy w porę.

— Ale któż was zawiadomił?

— Kto? Sindo, ten człowiek, któremu William wyprosił życie u Makory...

Myśliwi chcieli uściskać poczciwego Sindę i przeprosić go za posądzenie o niewdzięczność, ale Sinda nie było między wybawcami; wyczerpany szalonym biegiem, jakim pędził, aby zawiadomić obrońców o nieszczęściu ich towarzyszy, nie był on w stanie biedz z nimi na powrót na pomoc. Został w obozie Makory i myśliwców, i spoczywał.



Wypuściwszy na wolność dzikich Zulusów, myśliwi z Makorą i jego ludźmi co prędzej opuścili kraj ten, gdzie ich tak okropna spotkała przygoda i powrócili do miejsca, gdzie budowało się *hopo*.

Gdy przybyli, mieli nowy kłopot z Facetanem, który skacząc z radości na widok ocalonych panów, chciał przytém koniecznie rozszarpać Konga we wścieklęj złości, utrzymując, że nic innego, tylko jego głupota przeklęta uplatała młodych myśliwych w taką sprawę.

Po wzajemnem bliższém porozumieniu, pokażało się, że owo zapytanie Williama o Sinda, ocalało naszych myśliwych; ta jedna godzina, stracona przez wodza na poszukiwanie Sinda dała obrońcom czas przybyć na miejsce. Inaczéj byliby się niezawodnie spóźnili.

Makora czuł taką wdzięczność dla Sinda za jego usługę wyświadczoną dzielnym myśliwym, że w nagrodę pozwolił mu zająć napowrót dawne miejsce w plemienu rodzinném; łaskę tę niesłychaną u tych ludów pierwotnych wygnaniec przyjął z uniesieniem wdzięcznej radości...

## XXX.

## H o p o.

Ostatnie wypadki uleczyły przeciw Williama na jakiś czas przynajmniej z jego zamiłowania do niebezpiecznych przedsięwzięć. Przybył on do tego kraju po parę młodych giraf, w celu sprzedania ich korzystnie konsulowi holenderskiemu. Z doświadczenia teraz wiedział, że cel ten osiągnąć może tylko z narażeniem życia. Roztropniejszy po tylu wypadkach, postanowił już tylko zająć się budową *hopo*, wraz z trzema towarzyszami, którzy na prawdę więcej myśleli w téj chwili o domowych progach, niż o girafach.

Owo *hopo*, pułapka na girafy, składała się z potężnego i wysokiego ogrodzenia, ustawionego we dwa rzędy w kształcie ogromnej rzymskiej piątki V, zajmującej przestrzeń przeszło półtoramilową. U wierzchołka tego kąta, wykopano jamę ogromną, około czterdziestu stóp długą, piętnaście szeroką, ośm głęboką. Otoczono ją dużemi pniami drzew niedbale rozrzuconemi, aby ukryć brzegi, i pokryto starannie trawą i sitowiem. Cel téj budowy był widoczny; zwierzęta wpędzone w szerzy otwór zagrody, musiały przebiec ją w całej długości i wpaść w końcu w ów dół potężny. Ogrodzenie, zwłaszcza w bliskości jamy, było tak mocne, że zwierzęta nie mogły go ani wyrwać ani przeskoczyć. Przy wspólnej, nieprzerwanéj teraz pracy, samotrzask ten wkrótce ukończono, i postanowiono go natychmiast wypróbować. Gęsty las czulkowy ciągnął się naprzeciwko. Była to

główna przyczyna, dla której wybrano owo miejsce na pułapkę. Ludzie Makory dostali rozkaz naganiać zwierzynę z tego lasu w ową pułapkę.

O świcie nazajutrz rozpoczęto te łowy. Podzielono się na dwa oddziały. William, Henryk i Makora, na czele pierwszego, skierowali się w lewo; Hans, Arend, i jeden z głównych wojowników Makory, na czele drugiego, poszli w prawo. Las został więc otoczony na przestrzeni około czterech mil długości a trzech średnicy.

Naganiacze z większą częścią psów wdarli się w gęstwinę od północy. Biali strzelcy konno i kilku Makalolosów na wołach, pilnowali gęstwiny bocznej, aby zwierz nie uciekał z lasu w bok.

Zrazu zdawało się, że psy i naganiacze ubiegali się ze sobą o to, którzy więcej narobią hałasu; czego następstwa dały się natychmiast uczuć myśliwym, pilnującym skrajów lasu. Piekielny koncert chórem przepotężnym zabrzmiał z gęstwiny, dowodząc wymownie, że udało się ludziom zamącić spokój zwierzęcy. Słonie ozwały się swym potężnym głosem, wtorowały im ryki lwów, wrzaski małp, i straszne, szydercze chichoty obrzydliwych hyen.

Makora usilnie zalecał swym białym przyjaciołom, aby trzymali się koniecznie po za linią naganiaczy. William i Henryk zrozumieli wkrótce powód tego mądrego rozporządzenia. Całe stado słoni wypadło nagle z gęstwiny, o kilka kroków zaledwie od myśliwych, którzy pozwolili tym zwierzętom odejść spokojnie. Potém wyrwały się bokiem z lasu zebry i także poszły swobodnie. Następnie potężne stado bawołów wypadło na łąki, tak gwałtownie, że trafiał tylko szczęśliwy ocalał Williama i Henryka od stratowania.

Natychmiast po bawołach upragnione zwierzęta, ukazały się przeciw zachwyconym oczom Williama; około ośmiu giraf wybiegło z lasu już w pobliżu otwartéj pułapki. Gdyby się wysunęły poza ogrodzenie, dwutygodniowa praca byłaby nadaremna.

Spiąwszy wierzchowca ostrogami, William, a za nim Henryk, poskoczyli, przecinając im drogę.

Nigdy w życiu William nie doznał jeszcze podobnego wrażenia. Dwie młode znajdowały się pośród tego stada. Czyliż nie umkną z zasadzki?.. Jedna chwila miała rozwiązać to pytanie. Ujrzawszy myśliwych z psiarnią, zastępujących im drogę, lękliwe stworzenia zboczyły szybko i rzuciły się prosto w zasadzkę. Natychmiast ze wszystkich stron schodzący się naganiacze i myśliwi złączyli się przy ogrodzeniu. Przed nimi wśród obu ramion ogrodzenia poruszało się mnóstwo najrozmaitszych dzikich zwierząt, pomiędzy któremi myśliwi z niezadowoleniem spostrzegli dwa



słonie i nosorożca. Ponad tym tłumem, wysoko, poruszały się do wieżyc podobne szyje giraf, usiłujących koniecznie stanąć na czele tej gromady. W miarę jak przestrzeń pomiędzy ogrodzeniem się zwężała, zwierzęta tłoczyły się coraz bardziej. Niezbyt daleko od jamy, mądre słonie spostrzegły postępującą trop w trop za zwierzętami gromadę ludzi, i nagłym zwrotem w bok, wyłamawszy część ogrodzenia, uciekły. Ku wielkiemu zadowoleniu myśliwych, zebry poszły za słoniami. Ale girafy były daleko ztamtąd, prawie na samym przedzie, nie mogły więc korzystać z wyłomu w ogrodzeniu.

Podnieceni tem polowaniem Makalolosy, odchodzili prawie od zmysłów z zapału. Z wrzaskiem okropnym pędzili naprzód, aby co najprędzej ujrzyć wpadające do jamy wystraszone leśne ofiary. Krajowcy ci w tej chwili przedstawiali obraz najdzikszych namiętności. Ucieczka słoni doprowadzała ich do rozpacz, jakkolwiek słonie mogły właśnie wpadając do jamy przeszkodzić głównemu celowi polowania. Murzyni w owej chwili oddychali tylko mordem, szatańskim pragnieniem nasycenia się krwią i zniszczeniem.

### XXXI.

#### Zawód.

Przed dobieżeniem do jamy, już mnóstwo zwierząt było zdeptanych w tłumie, innym nie wiele się też należało, murzyni je dobijali, z dzikimi okrzykami tryumfu. Trzeba też wyznać, że to nieludzkie uniesienie murzynów po części udzieliło się młodemu myśliwym. Nowość widoku i ogólne upojenie podziało i na nich. Nareszcie coraz gwałtowniej pędzona gromada zwierząt wpadła z nieopisanym jękiem, rykiem i wrzawą w jamę, zapełniła ją po brzegi, a po tym stosie żywym przebiegł ostatek zwierzęcego tłumu i jak po równinie uciekł na szerokie łąki.

Teraz wszyscy ludzie otoczyli jamę, a widok ten okropny został podobno na resztę życia w pamięci młodych myśliwych. Z głębin jamy huczał ryk lwa, przyduszonego teraz ulubioną mu zazwyczaj zdobyczą. Z pośrodku sterczał potwór, którego nic przewrócić ani zgnieść nie mogło, biały nosorożec. A za każdym jego poruszeniem kości na okół niego trzeszczały, ciała płaszczyły się, jęki i krzyki wznosiły się coraz okropniejsze. Tylne łapy tego potwora musiały się podobno wspierać na ziemi, a przód wzniesiony gniótł gromadę jęczących stworzeń.

Kilka giraf wystrzelało szyjami z tej otchłani. Lękając się, aby ich nie zgniótł straszny nosorożec, William przyłożył strzelbę do jego oka i dał ognia. Huk wystrzału ledwo dał się odróżnić wśród stra-

znego chóru wrzasków, lecz cel został osiągnięty, potworny nosorożec już nie żył.

Wszystkich ramion użyto wtedy, aby wydobyć trupy i ocalić od zduszenia młode girafy, jeżeli jeszcze żyły. Za pomocą potężnych rzemieni ze ściąganiem węzłami chwytało najpierw antylopy i drobniejszą zwierzynę. Nareszcie dobyto i młodą jedną girafę i obejrzano ją z nadzwyczajnym wzruszeniem. Była jeszcze zupełnie ciepła, ale niestety, zupełnie też nieżywa... miała kość grzbietową złamaną.

Jeden ogromny samiec rzucał się tak gwałtownie, że nie można mu było dać rady, więc musiano go zastrzelić.

Ujrzano wtedy głowę i szyję drugiej młodej girafy; była zupełnie zagrzebana pod stosem zwierząt, a zdawała się żywą i całą. Dobywszy ją, założono jej dwa potężne rzemienie na szyję, aby nie uciekła. Miała najwięcej dwa miesiące wieku, to jest tyle, ile było właśnie potrzeba, ale wkrótce spostrzeżono, że nie była tak nieuszkodzoną, jak się zrazu zdawała. Zaczęła się szarpać i rwać do ucieczki, lecz nie mogła się utrzymać na wszystkich czterech nogach; jedna z przednich zwiśla w powietrzu, była złamaną. Girafa nie mogła być odstawioną do konsula. Największą łaską, jaką można było wyświadczyć tej ofierze myśliwskiej dumy Williama, była śmierć. William, zezwalając na to, cierpiał prawie tyle, co przy śmierci biednego swojego ogara.

Jama została nakoniec wypróżnioną i można było obejrzyć smutną zdobycz dokładnie.

Siedm giraf utraciło życie, prawie wszystkie przez złamanie szyi. Ta giętka szyja siedmiostopowej długości za delikatną była budowy, aby wytrzymać mogła nacisk i tratowanie takiej gromady zwierząt.

Zasadzka nie udała się zatem. Nie znaczyło to przecież, że *hopo* zbudowanym było na próżno. Makora zapewniał, że za dwa lub trzy dni znajdą się znowu inne girafy w lesie i będzie można urządzić drugą naganę.

To zapewnienie uspokoiło trochę myśliwych, gorzko żałujących, że dwa prześliczne stworzenia, takie właśnie, jakich im było potrzeba, zginęły tak marnie. Można było spędzić dużo giraf, a nie narażać na takie właśnie dwa odpowiednie okazy.

Ale William był wytrwały i cierpliwy; nie odstąpiłby on tak łatwo od zamiaru, który go tu przywiódł. Makalolosy nie skarżyli się teraz wcale; owszem byli bardzo zadowoleni: mieli niezmierną ilość mięsiva, z którym dużo było roboty, aby je urządzić na przechowanie, a także nie łatwo je było i zjeść.

Nazajutrz po polowaniu, na długich rzemieniach



wisiały dokoła sztuki mięsiwa i wszystkie krzaki były niemi przystrojone. Przeznaczone do takiego wysuszenia na słońcu mięsiwa, były to same wyborowe sztuki. Resztki wyrzucono daleko od obozowiska na równinę, gdzie dzikie zwierzęta okoliczne wyprawiły sobie z nich obfitą ucztę. Na trzeci dzień pozostawały już tylko ususzone zapasy, i ogryzione kości.

## XXXII.

Polowanie na myśliwych.

Czwartego dnia po chybioném pierwszym polowaniu dostrzeżono znowu ślady stóp giraf na wybrzeżu. Nowe stado zapuściło się w las czulkowy. Niektóre girafy były nawet młode; można to było rozpoznać ze śladu ich stóp.

William chwycił się nowej nadziei, a jego zapal udzielił się towarzyszom. Drugie polowanie mogło się przecież udać, a w takim razie, najdalej za parę tygodni Henryk i Arend ujrzeliby narzeczone, za którymi tęsknili, a Hans zająłby się przygotowaniami do upragnionej swjej podróży do Europy.

Wódz Makora ani myślał opuszczać ich po owęj niefortunnęj próbie. Przyrzekł on im pomagać w osiągnięciu celu wyprawy i wiernie dotrzymywał słowa, chociaż państwowe i domowe względy powoływały go do własnego kraju. W jego zacném sercu wszystkie względy milkły przed obowiązkiem danego słowa, a za wszystkie swe trudy i poświęcenia, czuł się w istocie wynagrodzonym rzeczywistą przyjaźnią i wdzięcznością młodych myśliwych.

Oznaczono dzień nowego polowania. W wigilię dnia tego wieczorem myśliwi w towarzystwie wodza wypróbniali ostatnią przywiezioną butelkę wina. Rozmawiano żywo o jutrzejszém polowaniu, łudząc się najmiłszymi nadziejami, gdy Sindo stanął przed przyjaciółmi. Powracał on z podróży na północ do tój wioski obcego plemienia, gdzie schronił się był zaraz po wygnaniu go przez Makorę, a plemienia tego głównym wodzem naczelnym był właśnie ten sam murzyn, któremu młodzi myśliwi konie zabili. Sindo udawał się tam w największej tajemnicy, aby zabrać swą żonę i dzieci. Teraz powracał z niemi szczęśliwie, ale i z wieścią także; a to taką, że mściwy wódz Zulusów ciągle tchnął zemstą przeciw tym, którzy go obrazili, jak utrzymywał. Zmówił się on obecnie z wodzem Moselekatsem, zwierzchnikiem swoim, głównym władzcą całej tój części Afryki, tym samym właśnie, z pod którego przemocy Makora musiał przed laty na wygnanie uciekać. Czarny wódz opowiedział Moselekatsemu, że dawny jego wróg Makora,

wódz Makalolosów, wtargnął do swęj dawnęj rodzinnej wioski i porwał przyjacielowi szlachetnego króla Moselekatsego rzeczy wielce kosztowne: konie, broń, proch, kule i niewolników. Skutkiem takiego przedstawienia rzeczy, władzca Moselekatse wyprawił natychmiast silny oddział wojska na Makorę, aby go ująć, czy też, jak się wyraził Sindo, wygnąć z tego świata. Za kilka godzin wojsko to mogło już przybyć. *D. c. n.*

## JAN ZAMOYSKI.

ROZWIĄZANIE ZAGADKI HISTORYCZNEJ,

nadesłane przez Czesława Gr. z Częstochowy, uznane za najlepsze przez redakcyę, która za nie przysądziła nagrodę. „Pamiętniki Paska, opracowane dla młodzieży“.

Jan Zamoyski, hetman i kanclerz wielki koronny, urodził się w r. 1541 w Sokołowie; był synem Stanisława i Anny Herbutównęj z domu. Z początku chodził do szkół w Krasnystawie, a potem wysłał go ojciec do Włech, dla studyów nad prawem i historyą i dla poznania różnych narodów. W Padwie, w jedném z miast włoskich, Zamoyski został rektorem akademii.

W tym czasie napisał dzieło pod tytułem „De senato Romano“, co znaczy „O senacie rzymskim“. Tam zapoznał się z młodym Stefanem Batorym, naówczas jeszcze szlachcicem węgierskim. Zamoyskiemu, gdy wrócił do kraju, król Zygmunt August powierzył archiwum koronne, tak więc miał sposobność zapoznania się z prawem krajowém. Zajmował się i gospodarstwem, gdy otrzymał dobra Zamoyskie. Nareszcie otrzymał od króla starostwo bełzkie, w ziemi rodzinnej, niedaleko od Zamościa leżące. Batoremu pomógł do otrzymania księztwa siedmiogrodzkiego.

Po śmierci Zygmunta Augusta miała się odbyć elekcyja pod Warszawą; pytano, kto ma prawo obierać króla. Wtedy Zamoyski powiedział, że każdy szlachcic ma prawo obierać sobie króla, a zarazem może nim być obrany. Po części prawdę mówił, ale właściwie ten tylko króla obierać może, kto się zna dobrze na sprawach politycznych. Zebrała się szlachta na elekcyę na polach pod Warszawą. Senatorowie zasiedli pod szopą, a szlachta w namiotach i tam się naradzano. Jedni radzili wybrać Piastę, to jest rodowitego Polaka, drudzy Maksymiliana, księcia rakuskiego, czemu się stanowczo sprzeciwiał Zamoyski, poczynając panowanie rakuskie za zgubne dla Polski. Nareszcie, najliczniejsze stronnictwo wybierało Henryka Walezego; do stronnictwa tego należeli Zborowscy, Radziwiłłowie, Chodkiewicze, Zamoyski i inni.

Tak więc Walezyusz został obrany królem. Zamoyski pojechał w gronie panów do Paryża,



zaprosić Henryka Walezjusza na tron polski. Przybył Henryk na koronację, gdzie stał się podczas turniejów następujący wypadek. Samuel Zborowski dobył miecza przeciw Tęczyńskiemu i rozpoczął bójkę; zobaczywszy to Wapowski, kasztelan, zaczął ich godzić i rozbrajać, ale go Zborowski mieczem w głowę uderzył tak, że go na śmierć zranił. Zaniesiono wpół już nieżywego Wapowskiego do króla, który w skutek nalegań powszechnych, musiał Samuela Zborowskiego skazać na wygnanie.

Walezemu w Polsce się nie podobało, a mianowicie wolność szlachty i ograniczenie władzy króla, to też, dowiedziawszy się o śmierci Karola, brata swojego, a króla francuzkiego, bojąc się, aby Francuzi kogo innego królem nie obrali, uciekł do Francji, zaledwo kilka miesięcy spędziwszy w Polsce.

Po ucieczce Henryka, szlachta i panowie zebrali się na nową elekcyą; najwięcej było stronników Stefana Batorego i Maksymiliana, arcyksięcia rakuzkiego. Rodzina Zborowskich, która dużo wojska na elekcyą sprowadziła, wraz z Zamoyskim czynnie popierała Batorego. Żeby zaś wszystkim dogodzić, obrano królową Annę Jagiellonkę, siostrę Zygmunta Augusta, przeznaczając jej na męża wybranego króla, którym został Stefan Batory, książę siedmiogrodzki.

Król Stefan nie znał naszego kraju i naszych obyczajów; upodobał sobie Jana Zamoyskiego, o radę go pytał; odtąd też byli z sobą, nie jak monarcha z poddanym, ale jak przyjaciel z przyjacielem. Batory na sejmie koronacyjnym (4-go Maja 1576 r.) mianował Zamoyskiego starostą bełzkim i knyszyńskim, a w kilka dni potem to jest 16 Maja, podkanclerzem koronnym. W rok później usunął Batory ks. Wolskiego, kanclerza koronnego, na biskupstwo płockie, kanclerzem zaś mianował Zamoyskiego, a podczas wojny z Iwanem Groźnym dał mu hetmaństwo wielkie koronne, pozostające dotąd w rękach Mieleckiego, który się już był zestarzał. Pokazało się, że Zamoyski tak dobrze radził, jak zwyciężał, nieza długo też zdobył silne warownie, jako to: Wielkie Łuki, Wielusz, Uświątnicę i inne.

Stefan Batory wyruszył na sejm do Warszawy, aby wyjednać nowe podatki na dalsze prowadzenie wojny. Na sejmie rozhukana szlachta, widząc że król swawolę jej pragnie ukrócić, zaczęła się burzyć i wiele przykrych wymówek robić Batoremu. Ale gdy ten pokazał się w kole sejmowém, błady od wojennych trudów i choroby, wszystkich wzruszył i niejeden, co sobie na niego ostrzył zęby, słówka pisać nie śmiał. Na tym sejmie król to wyjednał, że uchwalono podatki na nową wojnę.

Z Warszawy król pojechał pod Psków, który oblegał Zamoyski. Długo trwało oblężenie, aż nareszcie zawarto pokój na lat 10. Do Polski zostały przyłączone Inflanty, wiele miast i zamków, między którymi i Połock.

Dotąd szlachcicowi wstyd było służyć w piechocie, tylko koniecznie konno występował, a że bez piechoty wojować nie można, więc trzeba było do tego najmować Niemców, Węgrów lub Włochów. Król utworzył piechotę z kmieci, za co każdy kmiołek, przesłużwszy razy 3, otrzymywał wolność i często zostawał szlachcicem. Król ustanowił najwyższe sądy, czyli trybunały, dla Wielkopolski w Piotrkowie, dla Małopolski w Lublinie, dla Litwy w Grodnie. W tém wszystkiém pomagał mu Jan Zamoyski. Batory, chcąc się z nim więcej jeszcze zbliżyć, dał mu za żonę Gryzeldę Batorównę, swoją synowicę. Wesele było bardzo wspaniałe, zjechało się wiele gości, tak z zagranicy, jak i z kraju, prawie wszyscy senatorowie teraz byli obecni. Wesele to trwało cały tydzień.

Po weselu Batory bardzo gorliwie pracował nad dobrém Rzeczypospolitej, mając wielką pomoc w Zamoyskim. Ale rozhukana szlachta, widząc, że król przedsięwziął jej rogów przytrzeć, zaczęła się znowu burzyć i król, zamiast myśleć o pognębieniu Turka, musiał ją uspokajać.

Samuel Zborowski, zebrawszy dworzan, włóczył się po Polsce, to do Kozaków chodził i robił z nimi wojenne wyprawy, aby ich sobie ująć; nadto wdawał się w konszachty z cesarzem niemieckim i kozaków buntował. Te wszystkie jego spiski wydały się z listów, które do braci pisywał, a które sługa jego oddał królowi. Mając tedy król i Zamoyski czarne na białem, że Zborowski coś złego knuje, powiedzieli mu, żeby sobie z kraju wyjechał; przecież on to sobie miał za nic i zebrałszy dworzan, przejeżdżał się prawie pod nosem Zamoyskiego. Zamoyski nie mógł znieść takiego urągania ze swojej władzy, wysłał żołnierzy, aby go pojмали, a ci złapali go w nocy we wsi Pieczarach, pod Krakowem. Więźnia zaprowadzono na zamek. Zamoyski napisał o tém do króla z zapytaniem, co ma dalej czynić; a król mu odpisał, że pies raz zabity, więcej nie kąsa. Dosyć na tém było Zamoyskiemu, który zabrawszy kilku urzędników, poszedł do więźnia i zaczął go badać. Znając jego porywczosć i zuchwalstwo, wziął z sobą półhak czyli strzelbę, z którą nie było do twardszy takiemu dzielnemu jak Zamoyski hetmanowi, a zwłaszcza, że więzień nie miał żadnej broni. Po różnych zapytaniach, Zamoyski przekonał go o zdradę i rzekł mu, że musi dać gardło i żeby się na śmierć przygotował. Usłyszawszy to Zbo-



rowski zaczął bardzo rozpaczać i żałować za grzechy, wylewając przytém tyle łez, że cała podłoga, na której leżał krzyżem, była zwilżona. Nazajutrz przyszli po niego zbrojni ludzie. On ubrał się bogato, a kiedy go prowadzono na śmierć, kazał sobie przez drogę czytać Psalmy pokutne. Idąc koło kościoła, spotkał Zamoyskiego, który mu rzekł: „Odpuść mi, że cię każe tracić”, a Zborowski na to: „Nie odpuszczę, bo mię niewinnie tracisz”. Zamoyski znowu: „Odpuść”, a tamten na to: „Nie odpuszczę”. Zamoyski jeszcze: „Na Boga proszę, odpuść!” a w końcu Zborowski: „Teraz ci przebaczam, ale pozywam przed sąd Pana Boga”. Potém zaprowadzono go za furtkę, gdzie się rozebrał i ukląkł, a gdy wymawiał trzeci raz imię Jezus, kat ściął mu głowę.

Na pogrzeb Samuela Zborowskiego zjechało się wiele szlachty z wojskami nadwornymi, odgrając się Zamoyskiemu. Należało oczekiwać, że sejm, który miał się odbyć w Warszawie (1585 r.) będzie bardzo burzliwy. Król, spodziewając się tego, pojechał z liczném wojskiem do Warszawy. Na sejmie wytoczyła się sprawa ze Zborowskimi. Jednego z nich, Krzysztofa, przekonano, że króla chciał zabić i dowiedziono mu inne złe sprawy, za co odjęto mu cześć i sławę, on też, nie czekając wyroku, uciekł do cesarza niemieckiego. Kłótnie ze Zborowskimi przeszkodziły królowi przysposobić się do wojny z Turcyą. Zamyślając o takiej wojnie, pojechał do Grodna (1586 r.) gdzie z przeziębienia umarł.

Po śmierci Batorego, który nie miał potomstwa, zebrano się na elekcyą. Zborowscy przybyli z dziesięciotysięczném wojskiem. Zamoyski też przyprowadził wiele wojska i okopał się, stanawszy na polu. I przyszłoby zapewne do bójki, gdyby ktoś nie powiedział, że na elekcyą nie wolno z bronią przychodzić. Zborowscy i ich przyjaciele chcieli Maksymiliana rakuzkiego, Zamoyski wraz ze swoimi był za Zygmuntem, królewiczem szwedzkim. Królowa Anna, wdowa po Batorym, także chciała Zygmunta, ponieważ był jej siostrzeńcem, matka bowiem jego Katarzyna była rodzoną siostrą Anny, a zatém Jagiellonką. Polacy bardzo byli przywiązani do Jagiellonów, więc za Zamoyskim wielu poszło, a nawet i ci, którzy z początku ze Zborowskimi trzymali.

Widząc prymas, że większa część narodu jest za Zygmuntem, ogłosił go królem. Ale Zborowscy, złapawszy jakiegoś biskupa, kazali mu ogłosić królem Maksymiliana. Zamoyski, obawiając się, żeby Maksymilian nie zajął stolicy i nie kazał się koronować, pojechał zaraz do Krakowa i nie omylił się, albowiem niezadługo przybył Maksymilian z Niemcami, a Zborowscy dodali mu żołnierza.

Maksymilian chciał zająć miasto, ale go odparł Zamoyski i bramy otworzył Zygmunтови. Maksymilian ze Zborowskimi kręcił się koło Krakowa, więc po koronacyi Zamoyski, zebrawszy wojsko koronne, ruszył przeciw niemu. Maksymilian myślał, że Zamoyski nie będzie śmiał wkroczyć do posiadłości Austrii i cofnął się pod Buczynę, ale Zamoyski przeszedł granicę Austryacką i stanął pod Bieczyną naprzeciwko wojska Maksymilianowego. Radzono mu, żeby bitwę na następny dzień odłożył, ale on, uważając niedzielę za dzień dla siebie pomyślny (a było to tego dnia), posłał naprzód Kozaków, ci jednak nie dotrzymali pola Niemcom, więc z resztą wojska ruszył, a wojsko Maksymiliana poszło w rozsypkę. Maksymilian ze Zborowskim ukrył się w Bieczynie. Gdy Polacy zaczęli do miasta szturmować i bramy wyłamywać, zaraz się poddał. Polacy znaleźli tam wielkie bogactwa, ale tylko konie i broń zabrali. Zamoyski oznajmił Maksymilianowi, że go do niewoli bierze, a panów polskich, którzy mu pomagali, puścił na wolność. Zaraz po odniesioném zwycięstwie, Zamoyski zawiózł Maksymiliana do Krasnystawu. Po niejakiem czasie, gdy Maksymilian przyrzekł, że się już więcej o koronę polską starać nie będzie, Zamoyski puścił jeńca. Im więcej Polacy poznawali Zygmunta, tém więcej im się nie podobał, albowiem lubił mówić po niemiecku, ubierać się po niemiecku i z Niemcami przestawał. Zygmunтови także się w Polsce nie podobało, a kiedy pojechał do Szwecyi, by się widzieć z ojcem, o mało co tam nie pozostał. Król upodobał sobie Radziwiłłów, a nie Zamoyskiego. Ten, choć już nie miał tych praw i urzędów, które posiadał za króla Stefana, powstrzymywał szlachtę, burzącą się przeciw królowi, zamiast się z nią łączyć. Choć był już w podeszłym wieku, odparł Turków w Multanach (1582 i 1583 r.). W r. 1600 wraz z Potockimi utrzymał na gospodarstwie Jeremiasza Mohylę.

Kiedy Zamoyski odbywa te wyprawy na południu, król Zygmunt jedzie po śmierci ojca do Szwecyi, aby osiągnąć koronę szwedzką.

Szwedzi po większej części byli już protestantami, a Zygmunt, jako gorliwy katolik, chciał ich nawracać, czém sobie narobił wielu nieprzyjaciół między Szwedami. Skorzystał z tego stryj jego, Karol, książę sudermański, który trzymał z luterami, i sprzeciwiał się temu, żeby Zygmunt był królem szwedzkim, a potém sam się królem ogłosił. Widząc Zygmunt, że mu Polacy nie dopomagają, wrócił do Polski, ale chcąc Polaków przymusić do wojny ze Szwedami, kazał wojewodzie wendeńskiemu, który pilnował Infant, zacząć Szwedów, co gdy uczynił, Szwedzi wpadli do Infant i zdo-



byli różne zamki. Na nieszczęście nie można było wystawić przeciw nim wojska, gdyż Zamoyski, zebrawszy za własne pieniądze liczne żołnierza, walczył z Turkami i Wołochami, ale gdy wrócił, poszedł na Szwedów (1602 r.) choć już był bardzo stary, i odbierał zamki wzięte przez Szwedów. Wojsko zaczęło szemrać, że mu żołdu nie płacą, a Zamoyski, widząc, że król mu nie przysyła żadnych posiłków, tak w ludziach, jak w pieniądzech, rozdał wszystkie klejnoty, które posiadał, sam, będąc chorym, powrócił do domu i oddał hetmaństwo Chodkiewiczowi, a ten pozdobywał jeszcze kilka zamków i pobił 17,000 Szwedów, którymi dowodził sam Karol; na tém skończyła się wojna ze Szwedami.

Zamoyski w kilka lat umarł (3 Czerwca 1605 roku) mając lat 64. Założył akademię w Zamościu i wybudował twierdzę na Podolu, Szarogrod. Miał tylko jednego syna, Tomasza, który był kanclerzem wielkim koronnym i hetmanem wielkim, wsławił się także, ale już mniej od ojca.

Oprócz tego bardzo dobre rozwiązania, ze wszech miar zasługujące na nagrodę, nadesłali: Adolf B. z Cuszowa, Stanisława P. z Ekaterynosławia, Marya P. z Domaniewic, Kaźmierz K. z Pawłowska, Stasia P. z Krakowa, Mania St. z Trzebień, Kostuś M. z Radomia, Lińcia P. z Młoszowa, Eliza Sk. z Pobórze, Melania B. z Łychowa, Z. A. z ulicy Pańskiej, Ludwik M. Natalia O. z Pragi, Tadzio R. z Żytomierza, Maryćia M. z Żywotówki, Zofia Gr. z ulicy Nowogrodzkiej, Mania B. ze Słonima, J. H. z Wilna, i kilka bez podpisu. Wszystkim kochanym czytelnikom i czytelniczkom naszego Pisma, za tak piękne i staranne wypracowania serdeczne składamy dzięki.

### Łamigłówka zgłoskowa (A. Kr.).

Z następujących zgłosek: a—ar—du—dyak—e—fe—kos—li—ma—na—no—or—pis—po—py—ra—ret—stre—usz—za—zo — ułożyć ośm wyrazów, jak następuje. 1. Zwierzyniec niebieski. 2. Rzeka we Włoszech. 3. Ptak śpiewający. 4. Poeta starożytny. 5. Zwierzątko morskie. 6. Bózek egipski. 7. Miasteczko w Palestynie. 8. Prowincja w Hiszpanii. Początkowe litery tych wyrazów, czytane z góry do dołu, utworzą nazwę wioski tatrzańskiej, końcowe zaś w tym samym kierunku, nazwę góry w Tatrach.

### Łamigłówka leczbowa.

(Zosi z Wylezina).

Z dziesięciu liter imię i nazwisko sławnego naszego malarza. Przystawiając litery, otrzymane.

4. 2. 6. 9. 5. Osoba dla każdego najdroższa.
1. 5. 8. 9. 10. Uciecha dźwiatwy na Wielkanoc.
4. 2. 8. 6. 7. 9. Żeglarz.
9. 10. 6. Żwierzę domowe.
4. 2. 1. Nazwa miesiąca.
4. 5. 9. Roślina.
9. 10. 4. 2. Znak pisarski.
6. 7. 9. 2. Schowanie na papiery.
8. 5. 4. 2. Podziemie.
3. 2. 8. 5. Nazwa węża.

### ROZWIĄZANIA DO N-ru 26-go.

#### Zadania konikowego:

Skowroneczek furknął w glebie,  
Zatrzepotał w drobne skrzydła,  
I jak gdyby wisiał u sidła  
Śpiewa ziemi pieśń na niebie.  
— O co prosisz, skowroneczku?  
Czy o pokój w swém gniazdeczku,  
Czy o ziarnek drobną miarkę,  
Czy o wodę dla ochłody?

(Skowronek Wincentego Pola).

### Łamigłówka zgłoskowa.

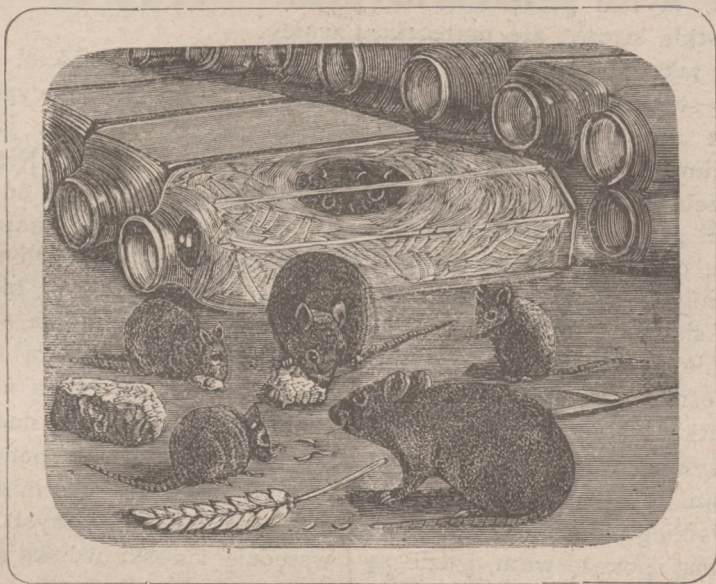
Marka.  
Akropol.  
Rigi.  
Zaraz  
Alhambra  
Niger  
Noemi  
Ariman.

Marzanna — Alizarin.



# WIECZORY RODZINNE

## DLA MAŁYCH DZIECI.



### PRZYGODY RODZINY MYSZEK.

(naśladowane).

#### I.

W ciemnym kącie, w piwnicy, za dużą beczką, mateczka myszka urządziła sobie gniazdko. Nakładła tam mnóstwo strzępków rozmaitych, waty, wełny, kawałeczków papieru i innych miękkich rzeczy, ażeby małutkim myszkom było wygodnie. Dobra ta mateczka ma ośmioro dzieci, wczoraj dopiero na świat przyszły, a taki to drobiazg, mało co większe od orzeszków, oczęta ich są zamknięte, włosków jeszcze nie mają wcale, ale mateczce myszce wydają się prześliczne. Oczy jej błyszczą z radości, gdy na nie patrzy; karmi je swoim mleczkiem, pieści, głaszcze i liczy raz po raz, wielkieby to było dla niej zmartwienie, gdyby przypadkiem zabrakło którego.

Myszki rosną prędko, bo żarłocznie popijają mleczko. W tydzień zaczynają porastać popielatemi włoskami, a trzynastego dnia po urodzeniu otwierają oczki. Szczęśliwyż to był

dzień dla mateczki! pobiegła natychmiast do spiżarni i przyniosła im kawałeczek sera. Małym myszkom tak zasmakował ten nowy pokarm, że już nie chciały pić mleczka i mama myszka musiała ciągle odtąd biegać i szperać po wszystkich kątach od piwnicy aż do strychu, aby im dostarczyć pożywienia.

Dnia pewnego, bardzo rano, mama myszka wyprowadziła dzieci z gniazdka, przeszła się z nimi po piwnicy, potem zapędziła je znowu do kącia, usiadła na tylnych łapkach i tak do nich mówiła:

— Moje drogie dzieci, dziś zaczęłyście już szesnasty dzień waszego życia; dotychczas pielegnowałam was z macierzyńską troskliwością, karmiłam swoim mlekiem, a jak tylko wam ząbki podrosły, miałyście podstatkiem orzeszków, sucharków i innych przysmaczków, a wszystko to ja wam znosiłam. Ale teraz urosłyście już na duże i rozsądne myszki, powinnyście sobie same dawać rady. Wy, synkowie moi, pamiętajcie, ażebyście byli zawsze grzeczni i uprzejmi dla waszych siostrzyczek, a wy, córeczki, jeżeli kiedy będziecie miały własne dziatki, pielegnujcie je tak troskliwie, jak ja was pielegnowałam. Ży-



cie myszek pełne jest niebezpieczeństw; miejcie się ciągle na ostrożności, na to wam Pan Bóg dał dobre oczki i uszki. A teraz pokażę wam, jak to kucharka chwyta w pułapkę nieroztropne myszki. Patrzcie na ten domeczek taki ładny, widać w nim przez kratkę różne wyborne przysmaczki. To jest straszliwa zasadzka, gdyby która z was tam weszła, natychmiastby się udusiła.

Słyszając te słowa, myszki przerażone rozbiegły się na wszystkie strony, ale mateczka zwołała je znowu i tak dalej mówiła:

— Przysmażona słoninka pachnie bardzo przyjemnie i smak ma doskonały, ale tu w piwnicy nie powinnyście się nigdy na nią łakomić, bo wpadniecie w pułapkę. A teraz słuchajcie uważnie: gdy obaczycie zdaleka ogromnego zwierza, o żółtych, błyszczących oczach, o nastroszonych wąsach, umykajcie pędem i chowajcie się w najciemniejszą dziureczkę, bo to jest nieprzyjaciel naszego rodu, kot, straszny drapieżnik. To on pożarł biednego waszego tatka. Mam jeszcze wiele rzeczy do opowiedzenia wam, moje dziatki drogie, ale odkładałam to na jutro, bo nie spałybyście wszystkiego od razu. Tymczasem chodźcie za mną, pokażę wam, gdzie są najlepsze zapasy żywności.

Mówiąc to, myszka wdrapała się na belkę, potem biegła wzdłuż długiej belki w górę i zatrzymała się przy przy małej dziurce w ścianie.

— Patrzcie, dzieci — rzekła — to jest wejście do korytarza mysiego, który prowadzi do spiżarni domowej. Pradziadowie wasi i prababki wygrzebali ten korytarz własnymi łapkami, powinniście im być wdzięczni za to.

Młode myszki pobiegły żwawo za mateczką, ale z trudnością mogły nadążyć, bo korytarz był bardzo ciemny i pełen ciasnych zakrętów. Dostali się наконец wszyscy do spiżarni.

— O, jakież to przepyszne zapachy! — wołały małe myszki, pokręcając noskami.

— Oto macie tu najpierw wyborną szynkę — mówiła mateczka — jedzcie, dziatki, to bardzo zdrowe dla myszek. Tam znów jest dobre mięsko świeże, konfitury, cukier.

— Doskonałe rzeczy! — powtarzają myszki, oblizując się — przyjdziemy tu i na obiad i na podwieczorek.

A wtém pisk żałosny odzywa się z półki; mama myszka pośpiesza w tę stronę, wdrapuje się na duży bochenek chleba, o! cóż to za straszny widok! Mała myszka wpadła

w ogromną donicę, pełną mleka i nie może się z tamtąd wydobyć. Mateczka strapiona wskakuje na brzeg donicy, podaje łapkę tonącej, woła na nią najczulszemi wyrazami, wszystko nadaremnie, mała myszka upada na siłach, zanurza się całkowicie w mleku i martwe jój ciało osuwa się na dno donicy. Mama myszka ze łzami w oczach zeskakuje z półki, zwołuje resztę dziatwy i cała gromadka z wielkim smutkiem powraca do piwnicy.

— Co za nieszczęście! — mówi biedna mateczka — pierwszy raz wyprowadziłam was na świat, moje dzieci, a już jedno utraciłam w tak smutny sposób. Nie będę miała odwagi puścić was na krok od siebie.

— O, nie bój się, mateczko — odpowiadają małe myszki — my będziemy bardzo ostrożne.

— Pamiętajcie o biednej waszej siostrzyczce — rzecze mama — i niech nieszczęsny jój koniec będzie nauką dla was. Strzeżcie się, bo świat jest pełen niebezpieczeństw.

Myszki słuchając napomnień matki, ale swoboda tak im się podobała, że nie mogą chwilki posiedzieć na miejscu. Biegają, skaczą, kręcą się na wszystkie strony, szperają wszędzie i noski wciskają w każdy kącik.

(D. n.).

## DO MANIUSI.

Mania się raz przechwalała,  
Że najlepiej tańcowała,  
Na to Mama: — Chodź mazurka  
Zręcznie tańczy moja córka,  
Jabym jednak to wołała,  
Byś ty książkę ukochała,  
Nie tak pyszną z tańca była,  
Za to lepiej się uczyła.

Marya Ciszwicka.

## KTO DRUGICH STROFOWAĆ RAD,

WŁASNYCH STRZEŻE WAD.

Obrazek sceniczny w jednym akcie.

(Dokończenie).

CELINA.

Pani Dużanowska! proszę, przyjdź też pani, zobacz, jaka ja umęczona jestem, jakie ja mam zmartwienia dniami i nocą!

TOLA.

Idę, idę, cóż to się stało u pani, że taki krzyk?



CELINA.

Zaledwo wyszłam na godzinke do ogrodu, aby odetchnąć świeżem powietrzem, a tu już takie okropności w domu, że z irytacyi pewno znów migreny dostanę. Tylko pani patrz: klatka wywrócona, woda rozlana, książki zamoczone. A wychodząc prosiłam i przykazywałam, żeby się Emilcia grzecznie i spokojnie bawiła. Powiedz pani sama i poradz mi, co tu robić z taką nieposłuszną córeczką i z taką boną niedbałą?

TOLA.

Trzeba koniecznie ukarać, proszę pani! bo jak będziemy zbyt łaskawość, to nam się dzieci tak rozswawolą, że im rady później wcale nie damy.

CELINA.

Masz pani słuszość! Łatwiej jest za młodu dzieci przyuczyć do posłuszeństwa, niż później, gdy duże urosną, tak jak młode drzewko łatwiej jest nagiąć wedle naszej woli, niż stare i duże. Trzeba karać dzieci koniecznie dla ich własnego dobra. Jak wykorzeniemy z nich wady, to będą z nich dobry ludzie, i same będą później wdzięczne nam matkom za to, żeśmy je surowo wychowywały. Trzeba ukarać moją Emilcię. Ale jak?

TOLA.

Nie dać jej obiadu i zamknąć ją do ciemnego pokoju!

CELINA.

Dobrze! bardzo dobrze pani radzisz. Zofio! weź Emilcię i wejdź tu do ciemnego pokoju! Obie jesteście winne, obie będziecie ukarane! *(pocichu)* udawaj, że Emilcia płacze!

NIUNIA.

Ale ja się boję ciemnego pokoju!

CELINA.

Niech Emilcia będzie posłuszna, niech nie swawoli, to nie będzie karana! Idźcie do ciemnego pokoju!

*(Celina i Tola wprowadzają płaczącą Niunię do drugiego pokaju i zamykają drzwi na klucz. Niunia głośno płacze. Mama wchodzi).*

MAMA.

Co to jest?! Co się Niuni stało? Gdzie Niunia? Co to za płacz *(biegnie do drzwi otwiera)*. Dziecko zamknięte na klucz w ciemnym pokoju!

CELINA.

Ale to nic, proszę Mamy! to ona tylko udaje tak za pannę Emilię! Bo panna Emilia jest dzisiaj małym dzieckiem i została ukarana za nieposłuszeństwo!

TOLA.

Bo my się w panie bawimy!

MAMA.

Ależ ona płacze naprawdę! *(wyprowadza zapłakaną Niunię)*.

NIUNIA.

Bo ja nie lubię siedzieć w ciemnym pokoju!

CELINA.

E, myśmy myślały, że tylko udajesz płacz za Emilcię. Któż wiedział, że płaczesz naprawdę.

MAMA.

I za cóż wy, moje panie, ukarałyście Emilcię tak surowo?

CELINA.

Za nieposłuszeństwo, proszę Mamy, za to, że tyle nam nabroiła; proszę patrzeć: klatka wywrócona, woda wylana na książki i zeszyty...

MAMA.

Co! i kanarek zabity!

DZIEWCZYNNKI *(przerażone)*.

Kanarek!... ach myśmy zapomnieli o kanarku...

MAMA *(ogłędając kanarka)*.

*(dziewczynki zaczynają płakać)*.

Ach żyje przecież! tylko z przestachu widać się nie ruszał... ale moje najpiękniejsze kwiaty poprzewracane, połamane! woda na posadzkę wylana, dywan zniszczony. O, dzieci, dzieci! jakże surowo umiałyście karać lalkę za to, co niby ona zbroiła, powiedzcież same, jak jabym teraz powinna was ukarać za wasze nieposłuszeństwo i swawolę?

DZIEWCZYNNKI *(płacząc i przepraszając)*.

Już nigdy a nigdy nie będziemy tak rozbili, niech się tylko Mama nie gniewa!

MAMA.

Przebaczam wam dla tego tylko, że widzę wasz żal serdeczny, ale niech dzisiejsze wasze zmartwienie posłuży wam za naukę: że

Kto drugich strofować rad,

Niech się własnych strzeże wad.

M...

## PRZYGODY KLARUNI

Opowiadanie przez Natalią Dygasińską.

*(Dokończenie)*.

— Dziecko niedoświadczone i nieogłędne, płocho istota bez zastanowienia, lekkomyślna, lituję się nad tobą, a życzenie twoje spełniam i teraz. Powrócisz do dawniej postaci, a ka-



ra, którą za lekkomyślność swoją dotkniętą zostałaś, jest dostateczną... Buntowanie się przeciw wyrokowi Opatrzności bezkarnie pozostać nie mogło. Próby, jakie przebyłaś w trzykrotnej przemianie, uczynią cię bezwątpienia rozsądniejszą na przyszłość. Pamiętaj jednak, że taka łaskawość nie zawsze i nie każdemu służy. Pamiętaj, że nie zawsze odzyskać można dobro utracone dobrowolnie...

Z temi słowy królowa wieszczek skinęła swą różczką, a nasza wiewióreczka, a raczej Klarunia doznała takiego uczucia, jak gdyby się przebudziła z głębokiego snu. Przetarła oczki, ujrzała się leżącą pod drzewem w gęstwinie leśnej, wszystkie przygody swoje pamiętała doskonale, ale nie mogła rozpoznać, czy jej się wydarzyły we śnie czy na jawie. Przed nią stał w rzeczy samej ogrodnik, ten sam, co siadła zastawiał na wiewiórkę, gdy spostrzegł pod drzewem Klarunię, a przy niej spokojnie czuwającego Azora. Widok ten tak podzielał na starego Mateusza, że upuściwszy z rąk haki i tyki niesione, pędził z okrzykiem do dworu:

— Panienska, panienska się znalazła!

Na myśl, jaką uciechą wieść ta napełni biednego Ojca, rozległy się ogólne wykrzykniki radości.

Ojciec Klaruni i pani Miłoszowa usłyszawszy okrzyki ogrodnika, co żywo podążyli z całym tłumem domowników za Mateuszem, który doprowadziwszy wszystkich pod drzewo, ukazał rozespaną jeszcze dziewczeczkę.

Rozbudziła się ona, teraz zupełnie, i z nieopisanym okrzykiem szczęścia padła do nóg Ojcu, ścisnęła panią Miłoszwą, witała wszystkich z kolei, wołając:

— Gdzie Mama, gdzie Mama?

— Biedne dziecko — odrzekł jej ojciec — matka twoja ciężko zachorowała gdy jej powiedziano, żeś zapewne utonęła w sadzawce, darmo cię szukano po całym ogrodzie i lesie przez dzień cały. Życie jej w wielkim jest niebezpieczeństwie.

Klarunia załamała ręce, a gwałtowne łkanie głos jej stłumiło. Zrozumiała, o jakiej to srożej karze mówiła jej wieszczka. Jeżeli utraci matkę ukochaną, cóż zdoła jej tę stratę wynagrodzić? Ale Bóg zlitował się nad żalującą dziewczynką; matka, ujrawszy ją, zaraz uczuła się lepiej, a chociaż chorowała jeszcze przez dni kilka i bardzo się o nią

obawiano, przyszła jednak zupełnie do siebie i wyzdrowiała. Klarunia w czasie jej choroby dniem i nocą czuwała przy niej i serdecznie obiecywała poprawę.

Gdy się wszyscy uspokoili, dziewczynka opowiedziała rodzicom i pani Miłoszwowej dziwne swoje przygody, a po ostatniej swiej przemianie, gdy znów została Klarunią, odmieniła się rzeczywiście zupełnie i z kapryśnej, leniwiej, lekkomyślnej dziewczynki, stała się dobrą, posłuszną, łagodną i pracowitą. Nigdy też zapewne żadna nauczycielka nie miała tak pilnej i posłusznej uczennicy jaką zyskała pani Miłoszowa, żadni rodzice nie mogli się pochwalić tak kochającą i łagodną córką, żaden dom nie posiadał tak wyrozumiałej, litościwej roztropnej panienki, jaką się stała uwielbiana odtąd przez wszystkich Klarunia.

### Zagadka.

Co to to jest za rzeczka co się tak nazywa  
Jak ptaszyna jedna wesola i żywa  
Ptaszyna żółtawa, dziobkiem wiśnie kole,  
Rzeczka tonie w Wiśle pod wioską Podole.

### Łamigłówka głoskowa.

i  
i N a d l a  
i i  
n o e  
t b m z  
e y i n u  
d e r b u e  
g t e p m e u

Z tych liter rozsypanych utworzyć zdanie moralne, powszechnie znane.

Rozwiązania do Nr. 26-go

### Zagadki:

Konik.

### Łamigłówki kryształowej:

N  
L A K  
N A R E W  
L E W  
W